

KOMEDIA KRYMINALNA O ZŁODZIEJU,
KTÓRY DAŁ SIĘ OKRAŚĆ.



MAREK
STELAR
KAMELEON

FILIA



MAREK
STELAR
KAMELEON

FILIA

PROLOG

Wyobraźcie sobie, że przed oczami macie taki oto fantastyczny widok: morze. Krystalicznie czyste, lazurowe, albo o tym cudownym, malachitowym odcieniu, jaki mają wody naprawdę ciepłych, egzotycznych mórz. Piasek obmywany jego drobnymi falami jest biały jak kreda. Delikatna piana tych fal wsiąka z sykiem między maleńkie ziarenka. Na piasku widać przypominające ośmiornice ciemniejsze placki: to cienie palm, zwieszających się nad plażą, wyrastających z dżungli rozciągającej się tuż za nią. Kobaltowego nieba nie kala ani jedna chmurka. Jest na nim tylko słońce. Piasku nie kala ani jedno ludzkie cielsko, są tylko muszle o niezwykłych, fantastycznych kształtach. Pięknie, co? Nie, nie pytajcie na razie, skąd mężczyzna zna tyle kolorów. To nieistotne... No dobra, istotne, ale nie w tej chwili, o tym później. Teraz patrzcie oczami wyobraźni na to morze, plażę i niebo. Chłońcie tę atmosferę, chłońcie kolory. Widzicie? Taki widok mam właśnie przed oczami. Moje własne Zihuatanejo. Szkoda tylko, że nie mam na sobie hawajskiej koszuli, a koło leżaka nie stoi piña colada w skorupce kokosa. Zamiast tego wisi na mnie znoszony dres, nie

leżę na leżaku, tylko na pryczy, a w miejscu piña colady stoi butelka oranżady Hellena (czerwonej) kupionej w więziennej kantynie za ostatnie pieniądze. W dodatku jest mi cholernie zimno. Na zewnątrz mimo nieba zasnutego chmurami panuje upał, ale tu gdzie jestem, czuć jakiś niewytłumaczalny chłód, więc wpatruję się w ten widok, bynajmniej nie za oknem, tylko pod powiekami; wpatruję się w niego oczami wyobraźni i z całą siłą woli, na jaką mnie stać, usiłuję przekonać samego siebie, że grzeje mnie to słońce, które sobie tylko wyobrażam. Słabo mi to wychodzi. Bardzo słabo. Może nie ma już we mnie silnej woli? Za zakratowanym oknem jest brudny spacerniak, a wyżej tak samo brudne chmury zwieszające się nad miastem i moim życiem jak jakieś pieprzone nemezis.

A przecież było tak pięknie...

MIKOŁAJ BORZYM

Nazywam się Mikołaj Borzym. Urodziłem się szóstego grudnia, czyli w dzień poświęcony Świętemu Mikołajowi i moi rodzice przez wiele lat twierdzili, że jestem prezentem od niego. Być może dlatego szok, jaki przeżyłem, kiedy okazało się, że typ nie istnieje, był dużo większy niż w przypadku innych dzieci. Ale uwierzcie mi, to i tak było nic w porównaniu z szokiem, jakiego doznałem w chwili, w której rodzice powiedzieli mi, czym naprawdę zajmują się w życiu.

Musicie wiedzieć, że moje dzieciństwo to ciągłe przeprowadzki z jednego krańca kraju na drugi. Mieszkałem w tylu miejscach, że nawet Tony Halik z szacunkiem chyliłby przede mną swe pomarszczone czoło. Gdyby żył, oczywiście. Nie byłem może wybitnym uczniem, średnim też nie, zresztą formalną edukację zakończyłem na gimnazjum, ale z geografii Polski ciężko było mnie zagaić. Jako jeden z niewielu w klasie wiedziałem, że Szczecin nie leży nad morzem, że Górny Śląsk to ten na dole mapy, a Dolny na górze i że Bielsko-Biała i Białka Podlaska to nie są dwa sąsiednie miasta. Wiedziałem to, bo wszędzie tam byłem. Tam albo w okolicach tych

miejsc. Ciągłe przeprowadzki, najczęściej niespodziewane i zaburzające mój proces edukacji, dały mi w końcu do myślenia. Na tej podstawie sądziłem nawet przez jakiś czas, że moi rodzice są bardzo zapracowani i jako, zapewne, wybitni fachowcy potrzebni w wielu częściach kraju. Niewątpliwie byli wybitnymi fachowcami w swojej dziedzinie, choć jak się okazało, jednak niezbyt potrzebnymi, a wręcz takimi, z którymi nikt nie chciałby mieć do czynienia.

Otóż moi rodzice byli złodziejami.

Tak, złodziejami. Nie w białych kołnierzykach, nie geniuszami potrafiącymi opracować plan wykradzenia *Damy z gronostajem* z Muzeum Czartoryskich, nie. Byli zwykłymi złodziejami i to miało formacyjny wręcz wpływ na moje przyszłe życie. Wystarczy zadać sobie proste pytanie: kim może zostać mały człowiek w przyszłości, gdy jak niemal każde dziecko stawia sobie za wzór rodziców? Odpowiedź jest oczywista. Ale prawda była dużo bardziej prozaiczna, bo pomimo oczywistości, nic jednak nie jest takie proste. No bo jak mogłem zostać kimś wielkim: wynalazcą, pisarzem, naukowcem, politykiem, skoro ciągle przenosiny powodowały zmiany szkół, a co za tym idzie, problemy z przystosowaniem się, co z kolei przekładało się na problemy z nauką. Przez to wszystko, a więc ostatecznie i przede wszystkim, pojawił się brak podstawowej wiedzy ogólnej, której posiadanie dałoby mi jakiekolwiek szanse zaistnienia w świecie nauki czy polityki.

Kiedy dorosłem, miałem tylko dwa wyjścia. Mogłem zostać celebrytą albo złodziejem. Dokonałem oczywiście wyboru. Słusznego, jak sądziłem, którego w dodatku

pomógł mi dokonać fakt, że jestem raczej nienachalnej urody. Bądźmy szczerzy, obiektywni i przyznajmy to wprost, bo tu się nie ma czego wstydzić: urodziłem się niewyjściowy na ryju i nigdy z tego nie wyrosłem, śmiem nawet twierdzić, że to wraz z wiekiem się pogłębiało. W miarę jak traciłem typową dla każdego bobasa słodycz, rysy mojej twarzy toporniały i już jako pięcioletek przypominałem hybrydę kapucynki i kameleona. Tak przynajmniej stwierdził mój Tatko, kiedy rozmawiał kiedyś z Mamusią i myślał, że śpię. Ale ponieważ nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło, potrafiłem przekuć tę drobną wadę w ogromną zaletę, o czym też wkrótce wam opowiem. I kiedy już też zostałem złodziejem, postanowiłem sobie, że w życiu zawodowym wzniosę się na wyżyny. Że z profesji tej uczynię nieomal sztukę, którą będę uprawiał z kunsztem, miłością i zaangażowaniem, równym tym, które dają z siebie wybitni pisarze czy naukowcy.

Jako bystry obserwator dość szybko zauważyłem, że ludzie wbrew pozorom nie są zbyt skomplikowani. Zwłaszcza ci bogaci. Mój Tatko, choć bardzo go kocham, też zalicza się niestety do tej kategorii. Nie mówię o bogatych, a wyłącznie o tych nieskomplikowanych, niedługo przekonacie się sami. Mój sposób na życie oraz na osiągnięcie wysokiego statusu materialnego, czyli tego, co nie udało się moim rodzicom, jest w gruncie rzeczy prosty. Ich sposób też był prosty, ale gorzej z wykonaniem. A ja?

Wyznaję cztery podstawowe zasady. Po pierwsze: bądź niewidoczny, dlatego raczej unikam ludzi. Posiadam także

kilka dowodów osobistych, a prawdziwym legitymuję się jedynie podczas przypadkowych kontroli i zagranicznych wyjazdów. Po drugie: nie przywiązuję się do rzeczy i miejsc, dlatego jedynym moim dobytkiem jest samochód (bardzo niezwykły) i walizka z wyłącznie najpotrzebniejszymi i niezbędnymi rzeczami. Po trzecie: liczę tylko na siebie, dlatego nie mam żony, przyjaciół ani nawet psa. Kota też nie, choć w przypadku kotów to podobno działa w drugą stronę, a więc nie pozwoliłem żadnemu kotu, żeby miał mnie. Po czwarte: nigdy nie zapominaj zasad od jeden do trzy.

Poruszam się po Polsce, osiedlając się na miesiąc, dwa w jakimś sporym mieście. Mieście, w którym są bogaci ludzie. Czyli robię dokładnie to, co robili moi rodzice, tylko że na własną rękę. Wynajmuję skromne mieszkanie, parkując auto na ulicy lub podwórzu. Płacę zawsze gotówką, bo nie mam kart płatniczych, kredytowych ani lojalnościowych. Nie istnieję w żadnych systemach, poza bazą PESEL i CEPiK. Jestem grzeczny, nie piję alkoholu, nie wikłam się w sprzeczki, nie angażuję się emocjonalnie, nie zwracam nikomu uwagi, nie wtrącam się w nieswoje sprawy. Robię swoje, a potem znikam. Jestem jak kameleon.

Aha. Kiedy dorosłem, postanowiłem też, że nigdy mnie nie złapią, jak moich rodziców. Teraz już wiecie, że akurat to nie do końca mi wyszło. Ale od początku...

TADEUSZ I IRENA BORZYM (TATKO I MAMUSIA)

Bardzo kocham moich rodziców. Nie są idealni, jak to rodzice, ale oni kochali mnie również, dając mi wszystko co mogli, choć nie było tego wiele. Żyli po swojemu, a ja żyłem razem z nimi, nie zdając sobie sprawy, że można żyć inaczej. Czy to ich wina? No nie, a przynajmniej tak to sobie zawsze tłumaczyłem, od dziecka wpatrzony w nich jak w obraz.

Pewnego dnia na obrazie pojawiły się rysy. Po pierwsze, dorosłem trochę i zacząłem zauważać pewne rzeczy, które do tej pory nie miały dla mnie znaczenia. Po drugie, moi staruszkowie zaczęli mnie, z racji wieku, coraz bardziej wtajemniczać w arkana zawodu, przez co zauważyłem, że w pewnych działaniach przejawiają daleko idącą niefrasobliwość. Szczególnie celował w tym Tatko. Naprawdę trudno było tego nie zauważyć i dziwiłem się czasem sam sobie, czemu to nie przejrzałem na oczy wcześniej. Cóż, miłość zaślepiła i nie ma znaczenia, czy to miłość do kobiety lub mężczyzny. A może do własnych starych?

Zanim opowiem o dniu, w którym obraz mający do tej pory parę rys pękł z hukiem i rozsypał się na drobne kawałki, podam trochę szczegółów technicznych.

Cały roczny urobek ze złodziejskiego szlaku rodziny Borzymów dzielony był przez nasz piękny kraj na dwie części. Rzeczy, które były cenne ze względu na to czym były, a nie z jakiego metalu je zrobiono, wędrowały na osobną kupkę. Miała ona trafić w pewne miejsce w Berlinie, ale o tym też później. Druga zostawała z nami. Mawiają, że nie wszystko złoto, co się świeci, ale akurat to, co świeciło w drugiej kupce było najprawdziwszym złotem. Biżuteria, precjoza, monety, nawet złoty złom, bo nie gardziliśmy niczym. I tę właśnie część składałiśmy w pewnym, tylko nam znanym miejscu. Nie powiem wam, gdzie ono było, bo to nie ma znaczenia dla tej historii, no i chyba musiałbym być idiotą, żeby takie rzeczy zdradzać. Powiem tylko, że było to coś w rodzaju podmiejskich błoni w pewnym mieście w centralnej Polsce, na których były tylko kupki gruzu, stare opony, chwasty i psie kupy. Totalne wygwizdowo. Tak się składało, że na tym ogromnym polu na początku lat dwięćdziesiątych odprawił mszę papież Polak, w związku z czym, jako że w ogólnej świadomości mieszkańców miejsce to było uświęcone jego stąpieniem, traktowano je z należytym szacunkiem. Czyli stało puste, bo nikt nie śmiał go niczym zabudować. Na jego środku znajdowała się studnia zakryta włazem, najprawdopodobniej element sieci kanalizacyjnej, choć nie mieliśmy pojęcia, po co komu kanalizacja pośrodku niczego.

– Bank ziemski jest najlepszą inwestycją – mawiał Tato za każdym razem, kiedy tam jechaliśmy. – Nie grozi mu upadek, defraudacja aktywów ani napad. Zamiast numeru konta musisz tylko pamiętać gdzie jest.

W dodatku to nasz własny bank. Wiemy o nim tylko my, nasza trójka, więc nawet jeśli jedno z nas zapomni gdzie, pamięta pozostała dwójka. Jeśli zapomni dwoje, pamięta jeszcze trzecie. Proste i genialne równocześnie! Pewne jak pogoda na Dominikanie.

Raz w roku, w dzień moich urodzin i tuż przed wyprawą do Berlina jechaliśmy do naszego skarbcza, żeby dorzucić do niego to wszystko, co udało się nakraść rodzicom przez ten czas, a czego nie potrzebował Gruby Otto (o nim też później). Tam właśnie trafiała druga kupka, ta świeżą. Tatko stawał nad pokrywą studni, wyłamywał palce jak kasiarz przed włamem do sejfu i mówił uroczystym tonem: „Sesamie, otwórz się”, po czym zdejmował właz, schodził w czeluść i znikał w bocznym kanaliku na głębokości jakichś trzech metrów. Wychodził stamtąd umorusany, ale szczęśliwy, opowiadając, ile fantów zebrało się już na dole. Zupełnie, jakbyśmy z Mamusią o tym nie wiedzieli.

I tak było co roku, do czasu, gdy pewnego dnia zdarzyło się coś zaskakującego. W drodze do naszego banku, do sezamu kryjącego nasz skarb, nasze ciężko ukradzione pieniądze, kosztowności i złoto, nastąpił nagły i niespodziewany zwrot akcji o sto osiemdziesiąt stopni, powiedziałbym, bo w jednej chwili z ludzi całkiem majątnych zmieniliśmy się w biedaków. Zwykłych gołodupców, na których zresztą zawsze wyglądaliśmy. Okazało się, że Tatko był w błędzie sądząc, że banków ziemskich nie dotyczą prawidła rządzące bankami tradycyjnymi. Nie wziął bowiem pod uwagę jednej, za to bardzo istotnej rzeczy.

Tak zwanego czynnika ludzkiego.

Bo prawda jest taka, że jeśli coś ma się spieprzyć, to zawsze będzie to wina człowieka. Nie awarii mechanizmu, nie przypadku, nie ślepego losu i nie Boga, który tak chciał: to człowiek zawsze coś spieprzy.

Wrażenie, że coś jest strasznie nie tak, dopadło nas, kiedy wchodziliśmy na most, a zza wału przeciwpowodziowego na drugim brzegu zaczęło się wyłaniać coś, czego nigdy wcześniej tam nie było. Mamusię zamurowało, i to chyba jest dobre słowo, zważywszy na ten widok. Mnie zresztą też, pomyślałem nawet przez chwilę, że Tatko jakimś cudem zabłądził albo pomylił mosty. Niestety to nie była pomyłka. Zorientowałem się po tym, że Tatce ruszała się grdyka, zupełnie tak samo, kiedy pił wodę w upalny dzień. Miał bardzo wydatne jabłko Adama i ono właśnie ruszało się w górę i w dół, choć Tatko niczego teraz nie pił. Szliśmy po moście, jakby siłą rozpędu, ale nogi nam miękły i robiliśmy to coraz wolniej, aż w końcu zupełnie się zatrzymaliśmy. Pójście tam przestało mieć sens.

Nasz mityczny sezam mający zapewnić nam świetlaną przyszłość nie był wyczyszczony. Nie. Było znacznie gorzej. Dziś myślę, że stałoby się lepiej, gdyby to była jednak sprawka kolegów po fachu. Znieślibyśmy to łatwiej. Może docenilibyśmy sztuk konkurencji. Może potraktowalibyśmy jako nauczkę, nie wiem. Ale byłoby to w jakiś sposób jasne i zrozumiałe. Przynajmniej po części.

Zerknąłem na Mamusię. Zastygła w bezruchu i to takim, że żona Lota byłaby przy niej trzęsącą się galaretą. Miała zamknięte oczy i tylko skrzydełka nosa drgały

w rytm spazmatycznego oddechu, jak u złapanego w sidła małego zwierzątka.

– Chcieliśmy zapewnić ci w życiu dobry start, synu – powiedział Tatko spokojnym tonem, bo nigdy się nie denerwował i wszystkie kopy od życia przyjmował ze stoickim spokojem. – Ale wygląda na to, że jakaś łazęga właśnie ci ten start spierdoliła...

Nie bardzo wiedziałem, kogo Tatko miał na myśli. Architekta? Urzędnika, który wydał pozwolenie na budowę osiedla domów wielorodzinnych, które stanęło na naszym seszame?

A może siebie?

Mamusia wciąż miała zamknięte oczy i zaciskała powieki tak mocno, aż przestraszyłem się, że nie da rady ich otworzyć.

– Nie martw się, Mamusiu – powiedziałem, przytulając ją i mając wrażenie, że obejmuję spiżowy pomnik. – Dam sobie radę.

– Nic nie rozumiem. Przecież papież i w ogóle... Kto śmiał wybudować osiedle na ziemi, po której stąpał największy z Polaków? Może to tam ciągle jest? – zapytał głupio Tatko, wpatrując się w osiedle przypominające swoją zabudową Dubaj.

– Tak – wydusiła z siebie Mamusia, otwierając w końcu oczy. – Wystarczy zburzyć ósmy blok od lewej. Zrobimy to dziś w nocy, myślę, że nie zajmie nam to więcej niż godzinę, ty nieszczęsny idioto...

Niektórzy szukają złotego pociągu, twierdząc, że już prawie wiedzą, gdzie jest. Inni szukają Bursztynowej Komnaty i też mają ją podobno na wyciągnięcie ręki.

A ja wiem, gdzie jest skarb warty nawet nie tyle miliony, co po prostu trzy ludzkie, zmarnowane życia. I co z tego, że to wiem? Nic. Bo skarb jest, a jednak jakby go nie było. A może nie ma go, ale ja wciąż wierzę, że jest. Zupełnie jak ten złoty pociąg z Wałbrzycha.

– No trudno, mamy przynajmniej tegoroczny utarg. – Tatko poklepał torbę wiszącą na jego chudym ramieniu. – Trzeba umieć cieszyć się z małych rzeczy, prawda?

Niewątpliwie miał rację. Zresztą, mój Tatko bardzo często miał rację, problem w tym, że czasami jakby wszystko sprzysięgało się przeciw niemu. A skoro przeciw niemu, to i przeciw nam. Tak było i tego dnia. Los musiał się uwziąć na nas podwójnie, może dlatego, że skalaliśmy święte miejsce, upatrując je sobie na skład złodziejskich łupów? Kto wie? A sądziłem tak dlatego, bo oto na drodze pojawił się nagle radiowóz. Kiedy zauważyłem niebieską kreskę panelu z kogutami na dachu samochodu, łudziłem się jeszcze, że to karetka pogotowia. Był dość daleko, więc tą nadzieją żyłem jeszcze przez jakiś czas, ale nie był on niestety zbyt długi. Pięć sekund później musiałem stanąć z tym faktem twarzą w twarz jak mężczyzna: piętnastoletni, ale zawsze.

– Policja jedzie – bąknąłem zdenerwowany, bo przecież był jakiś powód do zdenerwowania.

Wisiał na ramieniu Tatki. Gdyby nie on, nie byłoby problemu. Na jednym złodzieju gore czapka, na innym wisi torba. Życie...

– Spokojnie. – Tatko poczęstował mnie uśmiechem tak mądrym, że serce me zalała nadzieja na ocalenie. – Nie ma powodu do paniki. Trzeba być elastycznym,

umieć dopasować się nawet do niesprzyjających okoliczności i zawsze mieć dwa plany awaryjne, synku. Nie jeden, tylko dwa. Na wszelki wypadek. I pamiętaj o tym. Traktuj to jako lekcję.

Po czym chowając się za Mamusią, przerzucił torbę z precjozami nad barierką i otworzył dłoń zaciśniętą na uchwytach. Patrzyłem zdumiony, jak torba malejąc w oczach, opada w ciszy prosto do rzeki, uderza z głuchym tąpnięciem w pokryty śnieżnym puchem lód, wzburzając obłok białego pyłu.

– Na czym polega twój plan numer jeden, Tatku? – zapytałem przez ściśnięte gardło, zerkając kątem oka na zbliżający się radiowóz, ponieważ miałem nieodparte wrażenie, że to nie żaden plan awaryjny, tylko zwykła awaria planu.

– Jest grudzień, chłopcze. Mroźny. Rzeka jest skuta lodem, co zauważyłem, wchodząc na most, bo jestem spostrzegawczy, a spostrzegawczość to w naszym fachu straszliwie ważna rzecz. Wziąwszy pod uwagę za i przeciwy, uwzględnivszy dywersyfikację ryzyka, uznałem, że lepiej będzie pozbyć się na chwilę obciążającego ładunku, a potem odzyskać go, kiedy okoliczności na to pozwolą. Proste, prawda? A teraz uśmiechamy się, kiedy panowie policjanci zatrzymają się obok nas, jasne? Mówię tylko ja, wy się uśmiechacie. Mikołaj, jak zwykle masz uśmiech debila, tak?

Przywołałem na twarz wyraz nieskalanej myśleniem maski, na której wykwitł równocześnie grymas niefrasobliwej, acz czystej radości. To zawsze działało. Taka czysta, pozbawiona jakiegokolwiek kontekstu radość jest

zaraźliwa i udziela się wtedy zwykle wszystkim dookoła. Radują się ze mną, choć w skrytości ducha szczerze współczują mi wtedy z powodu tej twarzy kretyna, a moim rodzicom z mojego powodu. Ale to działa.

Radiowóz minął nas, a siedzący w nim policjanci nie zaszczyli nas nawet jednym, choćby najkrótszym, spojrzeniem. Obaj mieli wzrok wbity w przednią szybę, na desce rozdzielczej leżały lizak i białe czapki funkcyjniarzy drogowki. Tatko przez dłuższą chwilę patrzył jak samochód maleje nam w oczach, zupełnie jak przed chwilą torba. Jego mina wyrażała głębokie rozczarowanie faktem, że policjanci się nami nie zainteresowali, jakby go to wręcz ubodło i w jakiś niezrozumiały dla mnie sposób uraziło jego dumę.

Tatko pobierał się jakoś w końcu i chrząknął:

– Zgadzaście się chyba oboje, że ryzyko było spore, wzięwszy pod uwagę, ile fantów mamy w tej torbie? A gdyby się jednak zatrzymali i zapytali, co tam mamy? No, co wtedy?

Mamusia nic nie mówiła, tylko czerwieniała na twarzy. Kolor jej policzków i czoła wciąż zmieniał odcień, pogłębiając się, jak u gotowanego na patelni raka.

– Spokojnie, poczekajcie tutaj. – Głos Tatka był jak zwykle bez troski. – Zaraz skoczę po nasz mały skarb i spadamy stąd. Kierunek, Berlin!

I nagle usłyszeliśmy jakiś podejrzaną trzask. Dochodził spod spodu i przez jedną, krótką chwilę miałem wrażenie, że pęka most. Ale to nie on pękał, tylko lód. I nie gdzieś daleko, tylko blisko, a dokładnie pod naszą torbą. Kiedy wychyliliśmy się przez barierkę,

zobaczyliśmy, jak delikatnie buja się na krze, która odziała się od tafli, zapewne w wyniku uderzenia po upadku z dość dużej wysokości. Zacząłem zaklinać ją w myślach, żeby przestała się bujać i chyba wszyscy to robiliśmy, choć oczywiście na nic się to zdało. Nawet cichutkie, ale rozpaczliwe „proszę, nie”, które uszło z Mamusi razem z kawałkiem duszy, też nie pomogło, zapewne dlatego, że torba była zwykłą torbą, w dodatku ciężką jak sukinsyn i było już za późno, żeby zrobić cokolwiek. Mogliśmy tylko patrzeć, jak zsuwa się z kry do wody, przez chwilę majączy jeszcze w jej czarnych odmętach, a potem znika bezpowrotnie, razem z ponad trzema kilogramami złota w środku.

I tyle.

– Co z planem numer dwa, Tatku? – zapytałem, wciąż pełen nadziei.

– Ale niedzień, no... – Tatko tylko westchnął i po tonie, jakim to powiedział, zorientowałem się, że chyba tak mocno skupił się na tym pierwszym planie, że nie zdążył jednak opracować drugiego.

Mamusia nic nie mówiła, wciąż była czerwona na twarzy, a w kącikach ust miała bąbelki śliny. Powieka lekko jej drgała w rytm tiku, którego nigdy wcześniej u niej nie widziałem. Wyciągnęła w stronę Tatki drżącą rękę o rozczapierzonych palcach i wyglądało mi na to, że Tatko podąży za chwilę śladem torby dokładnie w ten sam sposób i tą samą trasą: za uszy, przez barierkę i lód, aż do morza.

– No nic, nie będziemy tak tu stać jak kołki. – Tatko westchnął wpatrzony smętnie w czarną dziurę ziejącą

Mikołaj Borzym jest złodziejem w drugim pokoleniu, w dodatku mistrzem w swoim fachu, choć na mistrza zdecydowanie nie wygląda. To właśnie sprawia, że razem ze swoją udającą sprzątaczkę współpracowniczką sprytnie przemyka przez domy pełne dostatku, ograbiając je z najcenniejszych dóbr. I tak ślizga się przez życie i kolejne miasta w Polsce, kiedy nagle na jego drodze staje Myszowaty: tajemniczy funkcjonariusz pewnej rządowej agencji. Borzym ma dwa wyjścia: albo zacznie współpracować i dla dobra Ojczyzny obrobi dom pewnego biznesmena z jednej, za to bardzo nietypowej rzeczy, albo trafi do więzienia. Wybór jest naturalnie prosty, ale wszystko, co dzieje się potem już proste nie jest.

Borzym trafia w sam środek afery, w której stawką jest nowa technologia mająca zrewolucjonizować przemysł wojenny.

Wie jedno: jeśli chce wyjść z tego cało, musi rozegrać wszystko na swoich zasadach. Nawet jeśli ich nie zna...

**JAKIM TRZEBA BYĆ POTWOREM, ŻEBY OKRAŚĆ
ZŁODZIEJA? PRZESTĘPCZE ŚCIEŻKI BYWAJĄ KRĘTE
I PROWADZĄ NIE TYLKO DO WIĘZIENIA.**

mrocznastrona.pl
wydawnictwofilija.pl



FILIA MROCZNA
STRONA

cena **44,90 zł**

ISBN 978-83-8357-373-1



9 788383 573731